

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TLÓMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

4

I.

Wiele czasu zużył na tę pracę! Sam nie wiedział! Musiał się posługiwać szczypcami, scyzorykiem, palcami. Kiedy nareszcie po wielu trudach oderwał ostatni zawias, usiłował wsunąć koniec noża w otwór, ale napotkał na jakiś opór, miękki, elastyczny. W tej samej chwili dreszcz silny przebiegł jego ciało. Był sam. Noc była późna. Tak, jak nędzny rzeźmieszek, był w zamiarze popełnienia brzydkiego czynu, kradnąc cudzą własność, kradnąc tajemnicę innego człowieka. I to czynił on, człowiek bez skazy Robert Alimena!

Ale po chwili Robert zapanował nad tem wrażeniem. Początek był uczyniony, należało teraz iść śmiało do końca. Raz jeszcze wsunął nóż w otwór, nacisnął silnie i oderwał zamek.

Na miękkim posłaniu z czarnego aksamitu leżała ręka kobieca, pokryta kosztownymi pierścienkami. Ręka, z kawałkiem przedramienia, ucięta w łokciu. Przymocowana była do dna pudełka szerokiemi ogniwem ze złota, na środku którego błyszczał olbrzymi szafir w kształcie gwiazdy, a od którego szły dwa łańcuszki, przytwierdzone do podściółki z aksamitu.

Ręka ta, pokryta pierścieniami, była bardzo piękna. Długa, o wysmukłych palcach i nieskazitelnej, artystycznej linii. Ułożona była na aksamicie z nadzwyczajnym staraniem. Wzniesiona cokolwiek, czubkami tylko, palców wspierała się lekko o dno pudełka w pozie wdzięcznej, regularniej, prawie bezcielesnej.

Paznogie długie, różowe, wypukłe w kształcie migdała lśniły perłowym blaskiem.

Na czterech palcach jaśniały wspaniałe pierścienie. Szczególniej jeden z nich z czarną perłą otoczoną brylantami zwracał uwagę oryginalnością wykonania. Ogółem pierścieni było trzynaście, a wszystkie bogate o wytwornym, artystycznym smaku. Pomimo jednak tego ciężaru ręka zdawała się być lekka, jakgdyby skrzydła ptaka rozłożone do lotu.

Przedramię okrągłe, gładkie posiadało tę samą ciepłą, żywą karnację jak ręka. Obciążone było tylko jedną bransoletą złotą z dużym szafirem, tworzącym zamknięcie.

W miejscu, gdzie ramię ucięte równo zostało, umieszczony był okrągło wycięty kawałek skóry, doskonale zastępujący poszarpane żyły i mięśnie, nadając całej ręce wrażenie czegoś zupełnie skończonego, tak, jakgdyby nigdy, nigdy odłączoną nie została od korpusu ludzkiego i tworzyła sama w sobie całość nienaruszoną.

Nawet przy najbaczniejszym przyglądaniu się ręce tej, nie można było dostrzedz żadnych znaków szczególnych, świadczących o chemicznym spreparowaniu jej, tak czysta była w rysunku, wykuta zda się w marmurze, gdyby nie zabarwienie jej cięśne żywo bijące w oczy. Nie była ani tłusta, ani okrągła, jak się to zdarza u rąk dosyć pięknych, lecz pospolitych, ani za chuda jak dłonie zanadto eteryczne; miała wygląd dziwnej czystości i prostoty, pomimo bogactwa klejnotów i złota, obciążającej ją tak niezwykle.

Przyglądając się pierścieniom zauważyć było można, że wszystkie niedawno musiały wyjść z rąk jubilera. Jeden tylko z nich, ten z olbrzymim szmaragdem zdradzał pochodzenie dawne, hieratyczne prawie.

Na bransoletce zaś wyryte były trzy słowa w języku greckim.

Robert Alimena, przerażony, ogłuszony nie mógł oderwać wzroku od uciętej ręki. Noc już

była późna. Młody człowiek znajdował się sam wśród głuchej nocy w nieprzyjaznym, hotelowym pokoju z dłońią tą tajemniczą, olśniewającą blaskiem tęczowym o świetle żarzących się kandelabrow.

Merka Pianto.

Noc była, deszcz padał drobny, przenikliwy. Latarnie gazowe, zamglone oparami wilgotnych wieczorów i bezustanną mgłą, ciągnącą od Tybru, płynącego pod parapetami ulicy Tordinons, tlały zaledwie w żółtawej, smutnej atmosferze, cięższej nad miastem.

Zamykano już powoli, wszystkie nędzne, brudne sklepiki, znajdujące się na tej wąskiej, zacieśnionej, podobnej do wąskiego korytarza uliczce.

Bo ktoś o tej spóźnionej godzinie, miałby odwagę przyjść tu kupić, jaką starą połamaną latarkę z zardzewiałej blachy, kawałek wypłowiałego aksamitu, lub też szukać w ziejącej wilgocią antykwarni, książki jakiej, czy też obrazu o zjedzonych przez czas farbach.

Cudzoziemiec czy też specjalny amator

sterczały gęste rosochate brwi. Wyraz jego twarzy zdradzał w tej chwili zmęczenie i pokorę. Ale w spojrzeniu jego od czasu do czasu zapalały się żywym blaskiem, a po ustach przewijały się złośliwy, ironiczny uśmiech.

Postać starca pochylała się bardzo ku ziemi; jednakże odgadnąć było można łatwo, że pochylene to nie wywołała starość zgrzybiała, jak raczej przywyknienie do ciągłych pokornych ukłonów i uniżoności.

Towarzysz jego był młody, dwudziesto letni człowiek, chudy, blade, zdradzający organizm wątły, ubogi w krew zdrową. Był tak samo nędznie przyodziany jak starzec. Spodnie za lekkie były na ten dzień zimowy, surdut za krótki, kołnierz koszuli wystiępiony i brudny.

Człowiek ten był bardzo brzydki.

Posiadał on tę wyjątkową brzydotę ludzi, żyjących w bezustannej nędzy i głodzie, ludzi brudnych zawsze, syjących po najwstrętniejszych rowach. Imię jego było Jakób.

Obydwa, starzec i jego pomocnik zakończyli już swój dzień pracy.

Jakób, starał się miotłą trzymaną w ręce doprowadzić trochę do porządku czarną podłogę sklepiku, w rezultacie zaś ścierał tylko na większe kupki śmieci i proch obfitujący tu bogato.

Stary zapisywał coś dużym, gęsim piórem w grubej księdze o pożółkłych kartach.

Na nos wydatny założył olbrzymie okulary w oprawie ze srebra. Zdaje się, że to był jedyny przedmiot zbytkowny, będący jego własnością.

Nazywał się on Mojżesz Kabib i był żydem, tak, jak i towarzysz jego Jakób Verona.

Stary pisał cierpliwie, a Jakób oparty na miotle oczekiwał aż skończy. Handel dnia tego był bardzo marny więc dziwił się w duchu, że pryncypał tak długo grzebie w książce rachunkowej, w której właściwie nie było co zapisywać.

Nareszcie Mojżesz Kabib zamknął książkę i odłożył pióro. Książkę wrzucił do szuflady stołu i zamknął ją na klucz. Późem włożył do wielkiego portfela, związanego sznurkiem, kilkanaście franków ufargowanych w ciągu dnia i rzekł: — Chodźmy.

Ale w tej samej chwili rozległo się długie, przeciągłe gwizdanie, wychodzące z rogu ulicy, od strony mostu. Wyraz niepokoju przemknął po twarzy starca. Uniósł głowę do góry, nasłuchując uważnie.

Gwizdanie powtórzyło się.

Wówczas powstał i rzekł do Jakóba.

— Zaraz tu powrócę. Zaczekaj na mnie.

— Dobrze.

— Nie ruszaj się stąd. Rozumiesz?

— Tak.

Wychodząc ze sklepiku Mojżesz Kabib odwrócił się parokrotnie, chcąc się przekonać czy pomocnik jego zastosował się do jego rozkazu. Zależało mu na tem, aby go nikt nie szpiegował.

Uspokojony, zwrócił się w stronę mostu.

Człowiek tam stał jakiś wsparty o poręcz, i pochylony naprzód zdawał się uważnie śledzić bieg fal, toczących się w dole.

W zmroku, twarz jego nie była widoczną, tembardziej, że nad głową trzymał otwarty parasol, choć deszcz nie padał już wcale.

Kiedy starzec podszedł do niego nie odwrócił się. Zaczęli ze sobą rozmawiać szeptem nie patrząc na siebie.

— Doby wieczór panie — rzekł Mojżesz Kabib.

— Dobry wieczór Monso — odparł nieznajomy, przekształcając w narzeczu arabskim imię Mojżesza.

— Wołałeś mnie panie, więc przyszedłem — szepnął starzec.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Na miękkim posłaniu z czarnego aksamitu leżała ręka kobieca.

w pełny dzień tylko ukazać się może na ulicy Tordinona.

W jednym tylko maleńkim sklepiku, niedaleko starego mostu Anioła tliła naftowa lampa.

Niepewne, brudne jej światło nadawało dziwaczne kształty zgromadzonej tu tandecie, starych, przypylonych przedmiotów, stosom przeróżnych tkanin kawałkom żelazów czerwonych od warstwy rdzy osiadłej na nich, meblom różnorodnym, połamanym, zjedzonym przez mole i robactwa. W chaosie tym zaledwie dostrzegalne z ulicy, posuwały się powoli, dwa dziwaczne cienia dwle istoty żyjące.

Jedną z nich był starzec, owinięty prawie aż do stóp w czarny, wyniszczony płaszcz. Na głowie miał kapelusz nieokreślonego koloru i kształtu.

Starzec ten był tak starym, jak te wszystkie rupiecie piętrzące się tutaj, tak stary może jak sama ulica Tordinona, jak stary most, wznoszący się nad Tybrem. Twarz jego naznaczona bruzdami, rozchodzącymi się w różne strony, żółta była jak pergamin, a długa biała broda spływała mu aż do pasa.

Długie i również białe włosy spadały na kołnierz płaszcza, świecący się w tem miejscu od brudu i starości. Nad głęboko osadzonemi oczyma